

OSTATNIA MIŁOŚĆ

# Edith Piaf.

CHRISTIE LAUME



OPowieść o wspaniałej spełnionej miłości



Urodziłam się w Paryżu 4 lutego 1942 roku, podczas drugiej wojny światowej, w okupowanej Francji. Moi rodzice byli Grekami. Rodzina ojca, o nazwisku Lamboukas, wywodziła się z tureckiej wyspy Marmara. Moja babka, którą nazywałam Yaya, płakała z nostalgii za każdym razem, gdy wspominała Marmarę. Do dziś mam w uszach jej opowieści o przebiegu tureckiego wesela. Mężczyźni zostawali na parterze, a kobiety wchodziły na pierwsze piętro, gdzie miały prawo zdjąć kwefy. Yaya kochała Turcję tak samo jak Grecję, a wojna między tymi dwiema ojczyznami bardzo ją martwiła. Zwłaszcza że zabrała jej męża. Babka miała wtedy trzydzieści lat i czworo dzieci, w tym mojego ojca Stavrosa, który był wówczas dziewięcioletnim chłopcem.

Z powodu choroby mój dziadek nie podlegał mobilizacji, ale tureccy żołnierze nie dali mu czasu na leczenie. Przyszli po niego do domu, żeby go zwerbować. Zadali mu ciosy i zabrali go na oczach żony i dzieci. Później jednak dziadek wrócił do domu, bo zachorował na czerwonkę. Yaya błagała

lekarza, żeby go uratował. Lekarz wciąż żądał złotych monet za swoje usługi, ale w pewnym momencie nie mógł już nic zrobić. I Yaya straciła męża. Wkrótce miała też stracić jedno ze swoich dzieci.

Wywodziła się z rodziny armatorów, miała więc trochę pieniędzy; wspomniane złote monety zaszyte były w długiej, czarnej spódnicy. Potrafiła być hojna nie tylko dla swoich, ale i dla obcych dzieci, gdy były głodne. Piekła chleb i odkładała go dla nich na krawędzi okna. Kiedy bochenki znikwały z parapetu, słyszała, jak dzieci krzyczą na dworze:

– Mia, daj nam jeszcze chleba, chce nam się jeść.

Ich brzuchy były wydęte nie dlatego, że zbyt dużo zjadły. Wręcz przeciwnie, dlatego że były zagłodzone.

Niewielki skarb Yayi stopniał prawie całkowicie. Z tego powodu mój ojciec zdecydował się opuścić dom. W sekrecie przygotował walizkę i wyszedł w środku nocy, pozostawivszy na kredensie list do matki. Pisał, że wyjeżdża do wuja do Paryża z nadzieją, że ten zatrudni go w swojej restauracji. Obiecał również, że przyśle pieniądze z Francji. Tego samego dnia poszedł do znajomego kapitana statku towarowego. Wiedząc, że statek zacumuje w porcie w Marsylii, ojciec prosił kapitana, by go zabrał. Ale ten się wahał.

– Młody jesteś, Stavros. Nie chcę mieć kłopotów.

Ojciec wcisnął mu banknot i kapitan dał się przekonać. Tata dostał się na pokład jako pasażer na gapę. Całą podróż spędził ukryty pod jakąś plandeką. Po kilku dniach był już w Marsylii. Od razu poszedł na Dworzec Saint-Charles i wsiadł do pociągu jadącego do Paryża. Po przyjeździe na Dworzec Lyoński wziął taksówkę. Podał taksówkarzowi nazwę

restauracji swojego wuja, która była dość znana. Gdy tam do-  
tarł, przedstawił się:

– Jestem Stavros Lamboukas.

Wuj od razu przyjął go do pracy.

Stavros nigdy nie wysłał z Francji pieniędzy swojej matce. Turcy zdecydowali w tym czasie, że nie chcą widzieć Greków na swojej wyspie. Dwa miliony Greków zostało przepędzonych z Marmary, z miejsca, w którym wielu z nich mieszkało od urodzenia. Przeczuwając rosnące z dnia na dzień zagrożenie, Yaya zrozumiała, że trzeba uciekać. Policzyła resztę pieniędzy, jakie zostały jej zaszyte w spódnicy, spakowała najpotrzebniejsze rzeczy i wraz z dziećmi opuściła dom, w którym pozostały wszystkie wspomnienia. I w ten sposób wkrótce ojciec zobaczył w Paryżu swoją matkę oraz siostrę i brata. Cała czwórka zamieszkała przy ulicy Cadet.

Ojciec miał dość restauracji wuja, bo praca w niej była niewdzięczna, a zarobki niskie. Marzył o tym, żeby zostać adwokatem, ale nie stać go było na studia. Wziął kilka lekcji fryzjerstwa, mając nadzieję, że znajdzie się dla niego miejsce w tym fachu. Zwłaszcza że dobrze się prezentował, był odważny i inteligentny. Pewnego dnia, przeglądając gazety, znalazł ogłoszenie: „Szkola fryzjerska poszukuje nauczyciela”. Ojciec nie miał żadnego dyplomu, a trzeba było jeszcze stanąć do egzaminu. Ale szczęście uśmiecha się czasem do śmiałków. Egzamin polegał na wykonaniu damskiego uczesania na modelce. Kiedy ojciec zabrał się do pracy, wszyscy zebrali się wokół, by podziwiać, jak czesze. Egzamin zakończył się oklaskami i tata został nauczycielem fryzjerstwa damskiego.

Wybór okazał się właściwy, bo nowy zawód przyniósł mu niezły zarobek. Niedługo później ojciec kupił nowe mieszkanie na ulicy Prowansalskiej. Było obszerne, dlatego dwa pokoje przerobił na salon fryzjerski. Jego klientela składała się z kobiet, które dowiadywały się o salonie pocztą pantoflową, bo mówiono o nim w pobliskich centrach handlowych: Printemps i Galeries Lafayette. Salon odniósł sukces. Ojciec miał bardzo wiele klientek. Właścicielce szkoły fryzjerskiej nie podobało się to i postanowiła wytoczyć mu proces. Ojciec wynajął adwokata, ale ponieważ ten słabo wywiązywał się ze swojego zadania, podziękował mu, tłumacząc, że sam poradzi sobie z obroną. Podczas rozprawy wygłosił mowę i wygrał proces. To zwycięstwo, poza innymi osiągnięciami, pozwoliło mu choć przez chwilę zrealizować długo pielęgnowane marzenie o byciu adwokatem.

W 1934 roku ciotka Anna, siostra mojego ojca, wybrała się w podróż poślubną do Kawali, na północ Grecji. Zaprzyjaźniła się tam z szesnastoletnią dziewczyną imieniem Marika, której opowiedziała oczywiście o swoim bracie kawalerze mieszkającym w Paryżu. Marika dała Annie swoje zdjęcie, które ciotka po powrocie pokazała Stavrosowi. Portret młodej dziewczyny bardzo mu się spodobał. Wymieniono inne zdjęcia, potem listy. W końcu Stavros poprosił Marikę o rękę. Dziewczyna bacznie przeanalizowała portret, który przesłał jej Stavros. Kandydat na męża był od niej straszny o trzynaście lat, ale uznała, że ma do czynienia z uczciwym człowiekiem, który nie obawiał się sfotografować z odkrytą głową i nie próbował ukryć ani siwych włosów, ani początków łysiny. Po zastanowieniu Marika przyjechała do Paryża, by

poślubić Stavrosa. Nigdy nie żałowała swojego wyboru. Oczywiście nie była w ojcu zakochana, ale szanowała go i darzyła szczerą sympatią. Przeczucie jej nie zawiodło. Stavros okazał się uczciwym, pracowitym mężczyzną, potrafiącym zapewnić kobiecie bezpieczeństwo. Ślub odbył się w 1935 roku. A rok później przyszło na świat ich pierwsze dziecko – Théophanis nazywany Théo.

Stavros, Marika, mały Théophanis i babcia Yaya wciąż zajmowali to samo mieszkanie na ulicy Prowansalskiej. Ojciec nigdy nie odmawiał klientkom, więc jego dni pracy były szczerze wypełnione. Mama również była zatrudniona w salonie. Latem choć na niedzielę potrzebowali uciec z Paryża. Często jeździli do Seine-et-Oise, Herblay albo La Frette-sur-Seine. Gdy więc udało im się zaoszczędzić wystarczająco dużo pieniędzy, postanowili kupić dom w La Frette, miasteczku położonym na wzgórzu, dwadzieścia minut jazdy od stolicy. Była to typowa prowincjonalna miejscina z małym urzędem gminy, kościołem, kawiarnią, w której można się było umówić na kieliszek czegoś mocniejszego, cukiernią ku uciesze dzieci, aleją wzdłuż Sekwany porośniętą drzewami. Idealny pejzaż dla rodziny, która chciała wypocząć w weekend. Było to również miejsce spotkań artystów. Wielu malarzy przyjeżdżało tu i rozstawiało sztalugi, naśladując tym samym Moneta, którego inspirowały okoliczne krajobrazy.

Ale widmo wojny, która przyniosła Yayı tyle nieszczęść, znów zaczęło krążyć. Mój brat Théophanis miał dopiero trzy lata, gdy Niemcy zajęli Francję. Babcia opuściła Paryż i zamieszkała z wnukiem w La Frette. Rodzice dołączali do nich w każdy weekend.



Pewnego dnia ojciec odebrał telefon od Yayı. Pobiegła z Théophanisem do kawiarni i poprosiła o wykręcenie numeru do Paryża.

– Stavros, musisz natychmiast przyjechać. Niemcy chcą urządzić w domu swoją kwaterę.

Stavros i Marika natychmiast ruszyli na Dworzec Lyoński i wsiedli do pierwszego pociągu do La Frette. Kiedy dotarli na miejsce, Niemcy rzeczywiście zaczęli opanowywać dom. Ojciec postanowił negocjować, proponując oficerowi:

– Zajmijcie pierwsze piętro, my zostaniemy na parterze.

Ojciec wymyślił, że przez całą noc będzie kaszleć. Hałas sprawiał, że Théophanis bez przerwy budził się z płaczem. Rano Niemcy wyszli z pokoiów i zebrali się na parterze.

– Dobrze się panom spało? – spytał Stavros.

– *Nein*.

Ten sam scenariusz powtarzał się każdej nocy. Po kilku dniach oficer zwrócił się do ojca:

– W pańskim domu jest za głośno.

I tak Niemcy postanowili się wyprowadzić.

Na początku 1942 roku mama miała urodzić kolejne dziecko. Nadszedł luty. Była właśnie w salonie fryzjerskim na ulicy Prowansalskiej, gdy wieczorem pojawiły się pierwsze skurcze. Ale w Paryżu obowiązywała godzina policyjna i nikt nie mógł wychodzić z domu. Zresztą taksówki nie kursowały. Trzeba było natychmiast jechać do szpitala. Tylko jak się tam dostać? Mama zwijała się z bólu. Ojciec zastanawiał się głośno, co robić. Sąsiadka, która przyszła się uczesać i była jeszcze w salonie, wpadła na pomysł:

– Niech pan zadzwoni na Kommandanturę!



Ojciec spojrział na nią zaskoczony.

– No tak. Niech pan tam zadzwoni, panie Lamboukas, i niech pan im wytłumaczy, że to siła wyższa: pana żona właśnie zaczęła rodzić.

Argument przekonał ojca, bo sięgnął po telefon i zrobił to, co sugerowała klientka.

Niedługo do mieszkania weszło dwóch niemieckich żołnierzy. Ich samochód czekał na dole przed domem. Poprosili, by mama i tato za nimi poszli. Mama miała skurcze, ale ze strachu cierpiała w ciszy. Przez całą drogę ojciec trzymał ją za rękę. Samochód skierował się najpierw w stronę XV dzielnicy, gdzie znajdował się szpital Neckera, w którym urodził się mój brat. Żołnierze sami poszli do izby przyjęć, ale zaraz wrócili. Poródówka była przepełniona. Trzeba było jechać do IV dzielnicy, do szpitala Hôtel-Dieu. Mama miała coraz silniejsze skurcze, a samochód ponownie przejeżdżał na drugi brzeg Sekwany.

To były inne czasy, a poza tym trwała wojna. Zaraz po porodzie trzeba było wrócić z noworodkiem do domu. Ojciec nie mógł przecież znów zadzwonić do Kommandantury po samochód. Rozpoczęłam więc życie od przejażdżki dorożką przez Paryż. Podobno ulice były białe od śniegu. Mama przykryła mnie kocem i cały czas przyciskała do piersi.

Po wyzwoleniu rodzice zabrali mnie do greckiej cerkwi na ulicy Georges'a Bizeta, w której się pobrali i w niej też ochrztili Théophanisa. Miałam trzy lata i teraz nadeszła moja kolej. W środku było bardzo gorąco, powietrze przesyciła woń kadzidła. Wtedy jeszcze pop odprawiał msze po grecku. Rodzice podnieśli mnie, żebym pocałowała ikony. Później mama

i matka chrzestna zdjęły mi ubranie. Przestraszyłam się, że będzie mnie badał lekarz, ale pop wziął mnie na ręce, trzy razy zanurzył w miedzianej chrzcielnicy, po czym namaścił olejami. Następnie mama nałożyła mi białą sukienkę. Po wyjściu z cerkwi natknęliśmy się na Amerykanów, którzy zapytali ojca, czy mogą zrobić zdjęcie naszej wesołej gromadce. Dwaj żołnierze poprosili, żeby tata ich sfotografował, podczas gdy trzeci trzymał mnie na rękach. Rodzice opowiadali mi, że był to wielki zaszczyt: ich córka sfotografowana w ramionach żołnierzy, którzy przybyli wyzwolić Europę.

Do La Frette przyjechało wiele osób, aby uczcić moje chrzciny. Rodzice lubili ładnie przygotowane przyjęcia. Goście zebrali się na obiedzie w salonie, przy stole nakrytym białym obrusem, na którym stały kryształowe kieliszki i porcelana z Limoges. Radości chrzcin towarzyszyła radość wyzwolenia. Trzeba przyznać, że tata nie szczędził wina ani szampana.

Po posiłku było zaplanowane przedstawienie, które wyreżyserował Théo. Miał wtedy dziewięć lat i spore zadatki na artystę. Każdy z nas zaprezentował pokazowy numer w korytarzu, który był oddzielony od salonu drzwiami z przezroczystą szybą i okazał się idealną sceną. Razem z moim kuzynem śpiewałam słynną piosenkę Georges'a Ulmera, którą wcześniej powtarzaliśmy z Théo do znudzenia:

*Kiedy weźmiemy ślub, weźmiemy ślub, weźmiemy ślub?*

*Kiedy weźmiemy ślub, kowboju mój?*

Goście okazali się doskonałą publicznością i dostaliśmy gromkie brawa. Ale po spektaklu znów zaczęto mówić

o wojnie. Chociaż się zakończyła, zajmowała jeszcze sporo miejsca w umysłach nas wszystkich.

Niedługo później jedna z klientek użyczyła ojcu swojego domu w Normandii. Do dziś pamiętam wakacyjną podróż, która zjednoczyła dwie rodziny: moich rodziców, babcię, brata Théophanisa oraz wuja, ciotkę i kuzynów. Ciągle mam przed oczami Dworzec Saint-Lazare, sprzedawców kanapek i napojów, pociąg z przedziałami, w których były siatki na walizki, powolny ruch lokomotywy po sygnale gwizdka. Tak bardzo różniło się to od podmiejskich pociągów, którymi zazwyczaj podróżowaliśmy. Tym razem naprawdę miałam wrażenie, że czeka mnie wielka przygoda. Ruszyliśmy do Caen. Miasta, które bardzo ucierpiało po bombardowaniach. Tak samo było zresztą w innych częściach Normandii. Autobusem dojechaliśmy do Ouistreham i Riva Bella, gdzie znajdował się wspomniany dom. Odkryliśmy jednak z zaskoczeniem, że nieźle ucierpiał w czasie nalotów. Miał wybite szyby, w środku ślady kradzieży. Właściwie zostały tylko ściany i dach. Ale wtedy w Normandii wiele rodzin mieszkało w zdewastowanych domach. Ojciec dokładnie obejrzał miejsce i zwrócił się do dzieci z pytaniem:

- Co wolicie? Wracamy do Paryża?
- Nie, nie!
- No to rozbijamy tu obóz.

I od razu popędziliśmy nad morze, które zobaczyłam wówczas po raz pierwszy w życiu. Biegaliśmy po miękkim piasku, bawiliśmy się w bunkrach, kąpaliśmy w morzu i wychodziliśmy z wody, trzęsąc się z zimna, zanim rodzice owinęli nas ręcznikami. Potem co roku jeździliśmy do Normandii.

Zawsze zabieraliśmy babcię Yayę, która starym zwyczajem trzymała pieniądze w biustonoszu przypięte agrafrką. Od tej pory rodzice zwracali jednak uwagę, żeby wynajmować coś w lepszym stanie. W końcu zdecydowali się na kupno domu.

Część lata spędzaliśmy również w La Frette, gdzie mieliśmy do dyspozycji ogród pełen lip. Ojciec budził się bardzo wcześnie, żeby podlać kwiaty i warzywa. Ja i Théo wybiegaliśmy w piżamach do ogrodu, by zerwać z krzaków pomidory. Gdy wracaliśmy do domu, czuć było już zapach kawy, oczywiście greckiej. Mama miała dla nas przygotowane grzanki: kromki czerstwego chleba pieczone na ruszcie kuchenki. Konfitura z mirabelek była zrobiona przez Yayę z owoców, które rosły w ogrodzie. Niestety przed śniadaniem musieliśmy czasem z Théo wypić łyżkę tranu. Zatykaliśmy nosy, żeby nie czuć okropnego rybiego zapachu.

Ogród w La Frette odgrywał bardzo ważną rolę w naszym życiu. Tu zazwyczaj jadaliliśmy posiłki. W letnie wieczory po kolacji tata brał gitarę, choć potrafił zagrać tylko jeden akord, i akompaniował mamie, która miała bardzo ładny głos, a Yaya kiwała wówczas nostalgicznie głową. Repertuar był grecki i francuski. Z pewnością te szczęśliwe muzyczne momenty zaważyły na przyszłej karierze Théophanisa, jak również mojej.

Czasami pytałam:

– Gdzie jest Théo?

– Schował się na lipie – odpowiadała mama. – Ale cicho, udawajmy, że go nie widzimy.

Théo był ruchliwym dzieckiem. Kiedyś na huśtawce zawadził o drut rozciągnięty między dwiema ceglany

kolumnami. Cegły nie wytrzymały długo. Uwielbiał wdrapywać się na drzewa i w ukryciu słuchać muzyki zatopiony w marzeniach.

Nasi rodzice nie chodzili regularnie do cerkwi. Tylko Yaya uczestniczyła we mszy w każdą niedzielę. Ale byliśmy rodziną wierzącą. W domu wisiały ikony. Podnoszono nas, żebyśmy je całowali. Wydawało się, że słowa Biblii same wypływają z ust ojca. Z łatwością przytaczał Pismo Święte i do rozmów wplatał cytaty ze świętego Pawła i ewangelistów. Czasem przypominam sobie, jak robił znak krzyża przed jedzeniem. Kiedy zbliżała się Wielkanoc, najważniejsze ze świąt, mama chodziła do cerkwi od Wielkiego Piątku. Razem z babcią robiły bordowe pisanki i słodki chleb zwany koulouria. Przed przekrojeniem ciasta trzeba było najpierw zrobić na nim znak krzyża. Pierwsza porcja była dla Ojca, druga dla Syna, trzecia dla Ducha Świętego, czwarta dla najstarszej osoby przy stole i tak dalej. Tak oto przejawiała się religijność w domu, w którym matka i ojciec chodzili kiedyś do prawosławnej szkoły. Wtedy nie zastanawiałam się ani nad Bogiem, ani nad Kościołem. Gdy miałam około szesnastu lat, myślałam jednak o tym, by wstąpić do zakonu. Ale mój brat wyśmiał ten pomysł i od razu wybił mi go z głowy. Niemniej wpojono mi chrześcijańską postawę. Miała się ona rozwinąć wiele lat później.

W La Frette, w którym mojego ojca nazywano „monsieur Max”, często zaglądaliśmy do piekarni, skąd rozchodził się zapach bagietek wyjętych prosto z pieca. Chodziliśmy też na targ, do kiosku, do sklepu spożywczego, gdzie kupowaliśmy gumy do żucia i słynne karmelowe lizaki zwane Pierrot Gourmand. Pamiętam intrygującego mężczyznę w kapeluszu

i czarnej aksamitnej pelerynie, którego początkowo trochę się bałam. Mieszkał naprzeciwko szkoły, w dużym domu nad Sekwaną. Spotykałam go często w drodze do szkoły. Mówił wtedy do mnie:

– Nie jedz tyle cukierków, bo popsują ci się zęby.

Odnosiłam wrażenie, że odkrył moją tajemnicę: gdy byłam dzieckiem, przed snem zawsze ssałam cukierki, bo inaczej nie mogłam zasnąć.

– Skąd pan wie, że lubię cukierki?

– Wszystkie dzieci lubią cukierki.

Później dowiedziałam się, że ten mężczyzna to znany pisarz Jacques Chardonne, autor książki *Epithalame*, który liczył się w przedwojennym francuskim życiu literackim. Od zawsze mieszkał w La Frette.

Czasem na plac targowy przyjeżdżało wesołe miasteczko albo cyrk. Najczęściej mały cyrk, w którym były tylko dwa konie, trzy psy, akrobata i klaun. Cyrkownicy przychodzili do naszego domu, bo wiedzieli, że mogą liczyć na gościnność mojej matki.

Co roku La Frette organizowało Święto Bzu. Ochotnicy dekorowali kwiatami wozy i samochody. Théo i ja zawsze byliśmy w pierwszych szeregach podczas takich uroczystości. Tak samo było każdego 14 lipca, gdy całe miasteczko maszerowało za orkiestrą, trzymając w rękach lampiony. Podczas tego święta narodowego wszyscy udawali się wieczorem na bal. Pamiętam scenę, gdy nasi rodzice tańczą, a my patrzymy na nich ze wzruszeniem.

Mama opuściła rodzinny dom, gdy miała siedemnaście lat. Przyjechała wtedy do Francji. Nigdy już nie zobaczyła swoich

rodziców, umarli w czasie wojny. Tęskniła za rodziną i dlatego postanowiła kiedyś, że wybierze się z wizytą do swojej siostry. Jej siostra poślubiła Greka, z którym miała dwójkę dzieci. Mieszkali w Egipcie, w Aleksandrii. Mama wyjechała do nich na cały miesiąc. Théo, ja i nasza najmłodsza siostra, która była wówczas niemowlęciem, zostaliśmy w La Frette razem z Yayą. Tata co wieczór przyjeżdżał do nas pociągiem.

Pewnego wieczoru Théo zabrał mnie do cyrku. Po powrocie do domu dostałam gorączki. Ojciec wezwał lekarza. Miałam wrażenie, że później odbyła się w domu tajna narada, ale byłam za słaba, żeby usłyszeć, co mówią, i zasnęłam, nie wiedząc, na co jestem chora. Obudziłam się w salonie na dole. Przez okno widziałam kwiaty i lipy w ogrodzie. Był ciepły czerwiec, ale nie wolno mi było wychodzić. Lekarz wrócił z pielęgniarką, która trzymała metalowe pudełko z igłami. Oboje mieli na sobie białe fartuchy jak w szpitalu. Zrobili mi trzy bolesne zastrzyki. Potem Yaya powiedziała, że przyjdzie do mnie ojciec. Wszedł do salonu i też miał na sobie biały fartuch, a nawet rękawiczki. Usiadł na brzegu łóżka i zapytał, jak się czuję.

– Bolało mnie podczas zastrzyków!

– Jesteś chora, moja malutka. Masz dyfteryt. To bardzo zakaźna choroba.

Wtedy najtrudniejsza była dla mnie myśl, że Théo nie będzie mógł wchodzić do pokoju. Że nie będziemy mogli razem się śmiać i dzielić sekretami. Mogliśmy tylko rozmawiać przez okno, gdy mój brat był w ogrodzie. Było to bardzo przykre, bo łączyła nas wyjątkowa nić porozumienia. Miałam siedem lat, a on – trzynaście. Już przed okresem dorastania



był pięknym chłopcem. Oczywiście stanowił dla mnie wzór do naśladowania. Wiedział tyle rzeczy! Bardzo dużo czytał. Myślał nawet o tym, żeby studiować literaturę, ale martwił się, czy ojciec się zgodzi. Lubiłam w nim tę duszę artysty, w której wyrażała się cała nostalgia naszej rodziny. I lubiłam czuć się bezpieczna w pobliżu Théo.

Trzeba było się przyzwyczaić do nowej sytuacji. Po powrocie ze szkoły Théo szedł najpierw do swojego pokoju odłożyć tornister, a później schodził do ogrodu, żeby porozmawiać ze mną przez zamknięte okno. Jego ciemne włosy stanowiły cudowny kontrast dla zielonego kwitnącego ogrodu. Wyglądał się, żeby mnie rozśmieszyć. Odgrywał scenki z moim ulubionym aktorem w roli głównej. No i się nie nudziłam. Dzięki bratu miałam odskocznnię od bolesnego, wyjałowionego świata z pielęgniarkami i zastrzykami. Pytałam go przez okno:

– Co dziś zjecie na kolację?

Za każdym razem odpowiadał mi to samo:

– Zupę jarzynową, tak jak ty.

Zawsze mówił o zupie jarzynowej, by nie było mi przykro, że omija mnie coś lepszego.

Byłam jedyną chorą w miasteczku, stąd te środki ostrożności i kwarantanna. Obok łóżka leżało małe lustro, w którym mogłam się przeglądać, żeby sprawdzić, jak rozwija się biały nalot na gardle.

Po miesiącu Yaya sięgnęła po słuchawkę i zadzwoniła do taty do Paryża.

– To koniec, Stavros.

Ojciec znieruchomiał, bo myślał, że Yaya obwieszcza mu moją śmierć. Ale ona miała na myśli to, że skończyła się moja

choroba. Trzeba było zdezynfekować pokój i wyrzucić wszystko, na czym mogły się znaleźć zarazki. Jacyś ludzie weszli do domu z wiadrami pełnymi środka do dezynfekcji i taśmą samoprzylepną, żeby uszczelnić okna. Cały pokój wypełnił się białym proszkiem. I to wszystko. Wróciłam do zdrowia. Ucieszyłam się, że wreszcie będę mogła porozmawiać z Théo. Przybiegł do mnie zaraz po powrocie z gimnazjum.

– Chodź, mam dla ciebie niespodziankę – powiedział.

Zaczął mnie prowadzić do ogrodu, gdzie rosły lipy. Jednak po kilku krokach siły mnie opuściły: byłam za słaba, potrzebowałam rekonwalescencji. Théo wziął mnie więc na ręce i zaniósł do domku, który zbudował z lipowych gałęzi: trzy ściany, dach i jedna część otwarta. W środku ustawił stół i dwa krzesła. Stół był już nakryty i znajdowało się na nim wszystko, co potrzebne na kolację: pomidory, ogórki, truskawki. Posadził mnie i oświadczył:

– Koniec z zupą jarzynową!

Przyniósł nawet karty, żebyśmy potem mogli zagrać.

Kilka dni później mama wróciła z Egiptu. Nie dostała żadnego telegramu z tych, które wysyłał jej tata, więc nie wiedziała o mojej chorobie. Przerażona wiadomością o dyfteryście, postanowiła, że już nigdy nie wyjedzie bez dzieci.

**T**héo musiał się zapisać do szkoły handlowej w Paryżu, chociaż ciągnęło go do literatury i muzyki. Nasze obawy z dzieciństwa potwierdziły się. Rodzice chcieli, by Théo przejął po nich salon fryzjerski. Taką właśnie przyszłość zaplanowali dla niego.

Wbrew sobie studiował więc handel, co nie przeszkadzało mu wykorzystywać wrodzonego talentu podrywacza. Zaczął zabierać do kina młodą ładną fryzjerkę, którą zatrudniali rodzice. Ale pewnego dnia mój wuj nakrył ich niespodziewanie w autobusie i doniósł o tym ojcu. Ten się wściekł.

– Lepiej myśl o studiach! Będziesz się prowadzał z dziewczynami, gdy dorośniesz!

Pamiętajmy, że wtedy dorosłym stawało się dopiero w wieku dwudziestu jeden lat. Théo protestował:

– Tato, przecież kiedy przyjechałeś do Paryża, miałeś dopiero szesnaście lat. Byłeś wolny, mogłeś robić, co chciałeś. Dlaczego ja mam czekać aż do dwudziestych pierwszych urodzin?

– Myślisz, że mogłem robić, co chciałem? Musiałem opuścić Turcję, a później ciężko pracować, żeby utrzymać rodzinę!

Tata dobrze wiedział, że Théo chce zostać mężczyzną, ale jako głowa rodziny musiał go pilnować. A poza tym należeli do różnych pokoleń. Ojciec urodził się w Turcji, tysiące kilometrów od beztrioskiej Francji lat pięćdziesiątych.

Théo był w domu rozchwytywany. Mama uwielbiała kino i lubiła chodzić z synem na komedie muzyczne. Ojcu natomiast nie sprawiało żadnej przyjemności zamykanie się w ciemnej sali kinowej. Tyle że Théo wyrósł z wieku, w którym chodzi się do kina z mamą. Ale jako dobry brat zabierał mnie czasem na filmy, chociaż byłam jeszcze dzieckiem. Na przykład na poranek ze *Złodziejem w hotelu* Alfreda Hitchcocka z Grace Kelly i Carrym Grantem. Kiedy wychodziliśmy z sali, powiedział, że miałby ochotę zobaczyć *Rewizora* z Danym Kaye'em. Zastanawiałam się, czy to dobry pomysł i czy rodzice by się na to godzili, ale Théo uciął:

– Mamy czas, żeby obejrzeć jeszcze jeden film. I starczy nam pieniędzy na hot doga.

Moje wątpliwości rozwiały się. Miałam do niego zaufanie. Przy Théo czułam się bezpiecznie i nigdy się z nim nie nudziłam.

Pod koniec lat pięćdziesiątych, gdy Théo miał osiemnaście lat, ojciec zdecydował się na sprzedaż salonu w Paryżu i zorganizowanie nowego w La Frette. Zbudowano go w ogródzie, miał fasadę wychodzącą na ulicę między placem targowym a dworcem.

Otwarcie salonu zostało dobrze rozreklamowane. W rozwinięciu interesu miało pomóc wielkie przyjęcie. Poczta

pantoflowa uczyniła resztę. Nowy salon fryzjerski w La Frette robił furorę.

Tego samego roku wyjechaliśmy na wakacje do Trouville. Théo, który od zawsze miał zacięcie artystyczne i lubił śpiewać, zapisał się na konkurs piosenki plażowej. Zdobył pierwszą nagrodę za interpretację piosenek Luisa Mariano i Franka Sinatra. Ta wygrana utwierdziła go w przekonaniu, że powinien podążać drogą, którą zamierzał iść, ale nie przerwał studiów handlowych, wiedząc, jak bardzo ważne są dla naszych rodziców. Po egzaminach zapisał się nawet do szkoły fryzjerskiej Chantoiseau na ulicy Trévisé, blisko kościoła Saint-Eugène. W wolnym czasie pomagał też ojcu w salonie.

Był bardzo zajęty. Niełatwo jest mieć dwadzieścia lat, być u progu dorosłego życia i wiedzieć, że zbliża się godzina wyboru. A poza tym wtedy chłopcy stali też przed innym ogromnym problem. Chodzi o „wydarzenia w Algierii”, jak się o nich mówiło. W 1954 roku Algieria rozpoczęła wojnę niepodległościową i walki siały tam spustoszenie. Młodzież dużo dyskutowała o tej kwestii. Théo, dotychczas wesoły, skory do śpiewu, zabawy, czerpania z życia, nagle zamknął się w sobie. Często miewał chandrę i z przykrością patrzyłam na jego smutek. Zrozumiałam, co było jego powodem, gdy zorientowałam się, że tata też bacznie zaczyna słuchać radiowych wiadomości o wydarzeniach w Algierii. Théo zbliżał się do wieku poborowego i mógł w każdej chwili zostać wysłany do północnej Afryki, gdzie zginęło wielu młodych Francuzów. Niepokój go nie opuszczał. Przerażenie, że będzie musiał odbyć służbę wojskową na froncie, spowodowało, że widział przyszłość w czarnych barwach.

Kiedy tylko zrobił prawo jazdy, ojciec pożyczył mu swoją ciemnozieloną simcę vedette, żeby oswoił się z ruchem drogowym. Niestety Théo bardzo szybko miał stłuczkę i to doświadczenie zniechęciło go całkowicie do jazdy samochodem.

– Nigdy już nie siądę za kierownicą – powiedział mi.

I rzeczywiście od tej pory nigdy nie prowadził.

A później nadeszło ostatnie lato, które mieliśmy spędzić razem. Całą rodziną wyjechaliśmy do Touquet. Ale były to smutne wakacje. Théo nie odzywał się, zostawał całymi dniami w swoim pokoju. Nie śmiał się, nie śpiewał, nie ćwiczył piosenek Franka Sinatry. Mama pukała do drzwi jego pokoju.

– Chodź do nas, Théo, nie siedź tak sam.

– Zostaw go w spokoju – doradzał tata.

Ojciec nic nie mówił. Wolał cierpieć w ciszy i zachować dla siebie poczucie ponurego zagrożenia, które przywoływało smutne wspomnienia. Zapewne powracał do niego obraz własnego ojca bitego przez Turków i zaciągniętego siłą do wojska. Stracił go, gdy miał zaledwie dziewięć lat.

Rodzice zdecydowali się zorganizować duże przyjęcie z okazji dwudziestych urodzin Théo. Może chcieli w ten sposób zażegnać niebezpieczeństwo albo po prostu starali się podnieść syna na duchu. Salon fryzjerski został na tę okoliczność udekorowany. Półka z szamponami została zasłonięta deską nakrytą białym obrusem, a na nim stanął szampan i ogromny tort z tysiącami zamówiony u najlepszego cukiernika w Cormeilles-en-Parisis. Z entuzjazmem pomagałam w przygotowaniu tego święta na cześć mojego ukochanego brata. Chciałam też ładnie wyglądać, miałam przecież wtedy już czternaście lat.

Goście zostali zaproszeni na dziewiętnastą trzydzieści. Wybrałam ładną sukienkę i postanowiłam nie wkładać skarpetek, bo było bardzo ciepło. Urodziny Théo wypadały w styczniu, ale postanowiliśmy je wyprawić latem, zanim zostanie zwerbowany do wojska. Nie wolno mi było jeszcze włożyć pończoch, a tym bardziej pantofli na obcasach.

– Musisz poczekać do szesnastych urodzin – mówiła mama.

A ojciec dodawał:

– A nawet do osiemnastych!

Ostatecznie czekałam, aż ukończę szesnaście lat, a w wieczór urodzin Théo musiałam się zadowolić sandałami do sukienki.

Od razu było jasne, że goście podzielą się na dwie grupy. Do pierwszej z nich należeli rodzice i ludzie w ich wieku ze swoimi dziećmi. Zjawili się prawie wszyscy mieszkańcy La Frette. Natomiast drugą grupę, która mnie bardziej interesowała, stanowili koledzy i koleżanki mojego brata: młodzi ludzie w garniturach i krawatach oraz dziewczyny w pięknych sukienkach koktajlowych. Podeszłam do nich i przywitałam się. Ale młodzież podzieliła się już na małe, żartujące ze sobą podgrupki. Byłam dla nich zbyt smarkata, a zaaferowany Théo nie mógł zajmować się swoją młodszą siostrą. Ponieważ nie chciałam mu przeszkadzać ani się narzucać, wolałam odejść. Wróciłam do rodziców, swojej młodszej siostry i kuzynów. Wówczas mama zapytała:

– Co tam słysząc u młodzieży?

– Dziewczyny mają przepiękne sukienki.

– A smakują im kanapki?



- Chyba bardziej interesuje ich szampan.
- A dlaczego z nimi nie zostałeś?
- Bo jeszcze jestem za mała!

Ale i tak byłam wdzięczna Théo, że pozwolił mi choć na chwilę wmieszać się w tłum swoich przyjaciół.

Dzięki szampanowi obie grupy cały wieczór chętnie śpiewały. Niektórzy dorośli próbowali nawet tańczyć kazaczoka: unosili nogi w bok, siedząc w kucki. Tych, którym się to udało, nagradzano brawami. Ku ogromnej ucieście moich rodziców część kolegów Théo przyłączyła się do zabawy.

Urodziny skończyły się o piątej nad ranem. Nie zostało ani kropli szampana. Było to ostatnie przyjęcie przed wyjazdem mojego brata do Algierii.

O ślubie czterdziestosiedmioletniej Edith Piaf z dwadzieścia jeden lat młodszym od niej pięknym Grekiem Théo było bardzo głośno. Podobnie jak o ich miłości. Niektórzy nie wierzyli w szczerłość uczuć tego młodego fryzjera, który dzięki słynnej Piaf znalazł się nagle wśród wybitnych muzyków Paryża, a potem także u boku pieśniarki stanął na scenie, występując pod nadanym mu przez nią pseudonimem Sarapo. Jednakże większość wielbicieli ciężko doświadczonego przez los Wróbelka – jak z czułością nazywano Edith – cieszyła się jej szczęściem.

Historię małżeństwa Piaf i Sarapo, od dnia poznania aż po ostatnie wspólne dni, opowiada Christie, siostra Théo. Jak pisze, u boku jej brata i w ich kochającej się greckiej rodzinie pieśniarka znalazła wszystko, za czym tęskniła.

Życie Edith wypełniała muzyka. W jej domu bywali i pracowali najślynniejsi twórcy. A ona – obdarzona niezwykłą wrażliwością – umiała dostrzec talent innych. Yves Montand, Charles Aznavour – to ona ich odkryła. I to ona wybrała Théo, w którym zobaczyła wymarzonego partnera nie tylko na scenie, ale i na co dzień. I spędziła u jego boku osiemnaście szczęśliwych miesięcy. Ostatnich osiemnaście miesięcy swojego życia...

W 2013 roku minęło pięćdziesiąt lat od śmierci Edith Piaf.  
Ale jej legenda nie umarła.

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



cena 34,90 zł

PATRONAT  
MEDIALNY

BOOKLIPS.PL IIII

FILMBOX

ROOM